

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor naczelny:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów
i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich
z dodatkami:
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ” i „GOSPODARSTWO”

Adres dla spraw dotyczących przedpłaty,
ekspedycji itd.:
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę
w dole.

Nr. 28.

Poznań, dnia 10 lipca 1927 roku.

Rok XXXIII.

Ze Zjazdu Katolickiego i Eucharystycznego w Inowrocławiu



Msza św. pontyfikalna u ołtarza polowego.
Po boku siedzi celebrujący X. Kardynał z asystą.

Z ostatniego Zjazdu Katolickiego

Był to i Zjazd Katolicki i zarazem kongres eucharystyczny, pierwszy kongres eucharystyczny w Polsce, niewielki, ale dający wyobrażenie o tem, czym jest kongres eucharystyczny.

Miejscem tego Zjazdu i kongresu była starożytna stolica bogatych Kujaw, Inowrocław. Nasze polskie Kujawy i ich gród pokazały, jaki tam wre duch katolicki. Takich tłumów nie widział jeszcze Inowrocław w swoich murach. Cześć Kujawom, cześć ludowi kujawskiemu, cześć miastu, cześć komitetowi, który z takim nakładem pracy godnie przygotował owe wspaniałe uroczystości.

Uświetnił te wielkie dni obecnością swoją szereg biskupów. Byli to XX. Biskupi: Tymieniecki z Łodzi, który też wygłosił wykład, Owczarek z Włocławka, Klunder z Pelplina, Laubitz z Gniezna, wieloletni proboszcz inowrocławski, którego ręka stworzyła trzy świątynie Inowrocławia, i Benjamin wśród biskupów polskich, Karol Radoński z Poznania.

Splendorem okrył cały kongres najpierwszy z biskupów polskich, Prymas Polski, Najprzew. X. Arcybiskup Hlond, a blasku dodał on zjazdowi purpurą kardynalską, otrzymaną co dopiero z rąk Ojca św.

Ojciec św. okazał także żywe zainteresowanie samemu Zjazdowi, nadsyłając na ręce kardynała Hlonda list, który warto poznać w całej rozciągłości.

Oto jego brzmienie:

Czcigodny Bracie!

Pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo.

Gorącem naszym aż do ostatniego czasu pragnieniem będzie rozpowszechniać za Bożą pomocą i przy każdej sposobności przez kongresy Eucharystyczne cześć Najświętszego Sakramentu, poucza bowiem doświadczenie, w jakim stopniu kongresy te przyczyniają się do pomnożenia wiary i miłości, jak bardzo wzmacniają nadzieję wiekuistej chwały. A ponieważ Eucharystia święta jest niejako ośrodkiem chrześcijańskiej religii, jest rzeczą widoczną, iż z tejże św. Eucharystii bezustannie wypływa

Boska siła, która zaprowadza nowy zgoła światopogląd i wywiera wpływ zbawienny na życie tak domowe jak publiczne.

Chętnem sercem przeto przyjęliśmy wiadomość o mającym się wkrótce odbyć kongresie Eucharystycznym w Inowrocławiu, gdzie nie tylko zebrać się mają duchowieństwo i wierni Twych Archidiecezji, lecz i przybędą sąsiedni biskupi.

Wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do tego zbożnego dzieła, udzielamy zasłużonej pochwały, tem więcej, iż pierwszy to w Polsce tego rodzaju kongres, a to znowu wzbudza w Nas nadzieję, że i w kraju tym dalsze nastąpią podobne zjazdy.

Przykładajcie się więc pilnie do rozwoju chwalebnie rozpoczętego dzieła, wznowiając dawne zwyczaje, o ileby one w zapomnienie były poszły, jak bractwa eucharystyczne, błagalne modlitwy do wystawionego ku czci wiernych Najświętszego Sakramentu i inne tego rodzaju pobożne praktyki. Starajcie się zwłaszcza o to, by odżył w Narodzie Polskim zwyczaj częstego przystępowania do Stołu Pańskiego. Będzie to miało ten skutek, że wierni, zbudziwszy zbawienną skruchę za swe grzechy, ożywią się zapalem do rzeczy duchownych, że publicznie uczczą królewską władzę Chrystusa, a poszczególne stany, posłuszne najświętszym prawom Boskim, cieszyć się będą darem pokoju i szczęścia. My zaś, prosząc Najwyższego o obfitę dla was łaskę, zatwierdzamy odpusty, przywileje, indulty i dyspensy nadane w Liście Apostolskim z dnia 7 marca roku 1924, a jako zadatek Łask Niebieskich i w dowód ojcowskiej naszej życzliwości zasyłamy z pełni serca Apostolskie Błogosławieństwo Tobie, Czcigodny Bracie, oraz tym wszystkim, którzy udział wezmą w Zjeździe.

Dan w Rzymie u Św. Piotra, dnia 8 marca r. 1927, Pontyfikatu Naszego szóstego Papiież Pius XI.

Ewangelja na piątą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Mateusza rozdz. 5, w. 20—24.

Won czas: Mówił Jezus uczniom swoim: Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa niż uczonych i faryzeuszów, nie wnikniecie do królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj; kto by zaś zabił, tego czeka sąd”. A ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; kto by zaś rzekł bratu swemu „zakąło”, tego czeka najwyższy trybunał; a kto by rzekł: „bezbożniku”, tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypominasz sobie, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą, a idź, pojednaj się w pierw z bratem swoim, a wtedy, wróciwszy się, złoż ofiarę swoją.

Nauka.

„Pojednaj się w pierw z bratem twoim.”

Dzisiejszą ewangelję niech dobrze sobie rozważą ci wszyscy, którzy z bliźnim żyją w gniewie. Odtąd niech się strzegą mówić mu „zakąło”, „bezbożniku”, lub podobnie, gdyż za takie wyzwiska Zbawiciel ciężką grozi karą. Nawet ofiary nie przyjmie Bóg z rąk ich, dopóki nie wyrzucą ze serca gniewu i zemsty i nie pojednają się z bratem czyli bliźnim swoim.

Oto pobudki, które chce dzisiaj Pan Jezus na-

kłonić nas do pogodzenia się z przeciwnikiem naszym.

Rozważmy jeszcze jak blahe nieraz są powody gniewu między sąsiadami, krewnymi a nawet małżonkami, którzy do pożycia zgodnego zobowiązali się małżeńską przysięgą. Jedno przykre słowo, małe szkoda wyrządzona, a czasem nie wporę zjawiający się uśmiech, oto iskra, która tak wielki wzniciła ogień! Czy dla takiej drobnostki warto narażać się na gniew Boski i na owe kary, które grozi dzisiejsza ewangelja? A choćby i ciężka stała nam się krzywda, zawsze jest ona drobnostką w porównaniu z ogromem krzywd, jakie my Bogu wyrządzamy naszymi grzechami. A przecież codziennie prosimy: „Odpuść nam nasze winy”, i gotów jest Ojciec nasz niebieski przebaczyć je nam, a my chcielibyśmy trwać w gniewie na bliźniego?! Jeżeli on obraził nas, nie potrzebujemy go przeproszać, ale zapomnijmy urazy, obdarzmy go na początek, przy spotkaniu, pogodnym, jasnym spojrzeniem, to go ośmieli, że następny raz on nas pozdrowi, a gdy tak prysną pierwsze lody, łatwiej popłyną ze serca wynurzenia, ustanawiające zgodę.

Ludzka to rzecz pogniewać się z bliźnim; lecz w gniewie nieprzejechanym trwać, to grzech szatana!

Otwiera Zjazd prezes Ligi katolickiej, profesor Dr. Gantkowski, zwracając uwagę obecnych na dwa szczegóły, które tegorocznemu Zjazdowi katolickiemu nadają osobliwsze znamię.

Jeden, to nadanie przez Ojca św. purpury kardynalskiej Prymasowi Polski; przez co kraj nasz zyskuje poważnie na znaczeniu wśród społeczeństw katolickich. A drugi, to powrót właśnie prochów wieszczki Juljusza Słowackiego do Polski, której on przeznaczał specjalne zadanie do spełnienia wśród narodów katolickich. Celem zaś niniejszego Zjazdu jest pogłębienie życia katolickiego w Polsce, z którego potem ma wykwitnąć odrodzenie dusz i serc polskich.

Marszałek Zjazdu wznosił okrzyk na cześć Papieża i Prezydenta Rzeczypospolitej i zwrócił się ze słowami powitania i hołdu do X. Kardynała, któremu zebrani czynią pełną zapalę owację.

Prymas-Kardynał skorzystał z tej sposobności i wygłosił dłuższe przemówienie, w którym wskazał na potęgający się z każdym dniem w świecie ruch ku prawdzie katolickiej, powrót do Boga i Kościoła. Ludzkość oprzykrzyła sobie jałowe hasła liberalizmu i materjalizmu, i tęskni za zdrowym pokarmem dla duszy, a ten znajdzie w Kościele katolickim. Zadatkami lepszej przyszłości w Polsce jest katolickość naszej młodzieży, organizującej się w stowarzyszeniach katolickich, nie wyłączając młodzieży akademickiej.

Po szeregu przemówień powitalnych rozpoczęły się wykłady. Trudno wkróciutkiem sprawozdaniu streszczać tyle mądrych, głębokich a długich wywodów dostojnych mówców i mówczyń. Niechaj będzie wolno tutaj zaznaczyć, że do serc gromady zebranej przemówiły najwyraźniej dwie mów-

czynie. Matka Ledóchowska, Urszulanka z Pniew i pani Suchocka z Pleszewa. A już przedewszystkiem wykład Matki Ledóchowskiej pod tytułem „Eucharystja a dziecko“, prosty a zrozumiały, porywał serca zebranych. Gdyby tak wszyscy mówcy na podobnych zjazdach chcieli pamiętać o tem, że na tysiąc ludzi słuchających jest co najmniej 900 takich,

do których nie można mówić górnolotnie jak do wysoce wykształconych, ale prosto, zrozumiale, od serca i — nie za długo!

* * *

Szczytem Zjazdu jako kongresu eucharystycznego była niedzielna suma pontyfikalna na rynku i wielka procesja eucharystyczna. Tłumy olbrzymie falują jak morze około potężnego ołtarza polowego. Nad tłumami powiewa las sztandarów. Celebryje Kardynał - Prymas wśród pięknych śpiewów zjednoczonych chórów śpiewaczkich. Kazanie,

przejmujące do głębi, głosi X. biskup Radoński.

Po Mszy św. wyrusza wspaniała procesja — obraz świata katolickiego, postępującego za Barankiem. W pochodzie za baldachimem uderza swoim wyglądem młody oficer w barwnym mundurze. To wysłannik papieski, kapitan gwardji szlacheckiej w Watykanie, hr. Canale Masucci, (zobacz jego podobiznę

na 12 stronie „Przewodnika“), ten sam, który przywiózł Arcypasterzowi pioskę kardynalską.

Kto widział tę procesję, ten powie sobie: To potężna manifestacja wiary!

Na drugim plenarnem zebraniu, w niedzielę, odczytano, po ogłoszeniu kilku referatów, rezolucje.

Po zwykłych przemówieniach końcowych zaśpiewano „Boże coś Polskę“, a następnie udali się wszyscy na dziękczynne nabożeństwo i Te Deum do kościoła św. Mikołaja. X.

Zjazd Katolicki w Inowrocławiu



Powitanie Kardynała Hłonda; po jego bokach X. biskup Laubitz i X. biskup Radoński.



Plenarne posiedzenie Zjazdu Katolickiego.

Na fotelach po lewej stronie p. wojewoda Bniński, po prawej X. Kardynał.

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

XL.

„Godzina święta”. — Zaproszenie z kazaniem. — Parafia św. Konstancji. — Jak powstawały w Ameryce parafie! — Zasługi księży. — Domki „małych ludzi”. — Wypoczynek amerykański. — Bieguny.

Według porządku wyznaczonego na wszystkie cztery dni kongresu eucharystycznego, miała się odbyć wieczorem pierwszego dnia we wszystkich kościołach miasta Chicago adoracja Najśw. Sakramentu, tak zwana Godzina Święta, z kazaniami. Proboszczowie kościołów chicagowskich łapali na tę godzinę kaznodziejów głównie, oczywiście rzecz, wśród gości z Polski. Miałem cztery zaproszenia z kazaniem na ten wieczór. Że zaś jako grzeszny człowiek nie umiem, jak to za łaską Bożą czynili niektórzy Święci, przemawiać równocześnie na kilku miejscach, przeto musiałem odmówić wszystkim cztery zaproszenia, a przyjąć piąte, które spadło na mnie już w czasie podróży z Nowego Jorku do Chicago. Jako jeden z delegatów komitetu polskiego do powitania gości z kraju w porcie nowojorskim i do towarzyszenia im na miejsce przeznaczenia jechał wtedy z nami sympatyczny i wesoły ksiądz proboszcz Aleksander Knitter z parafii św. Konstancji. Ten „roztropny syn tego świata” nie czekał z prośbami kaznodziejów aż do Chicago, lecz zaraz w pościgu zapewnił sobie celebry i udział naszych najprzewielebniejszych księży biskupów, a także pomoc kaznodziejów na cały tydzień eucharystyczny; w niedzielę bowiem po zamknięciu kongresu urządził u siebie jeszcze jakieś poświęcenie czy rocznicę i zaprosił nas wszystkich na tę uroczystość.

Wypadło mi tedy pojechać na kresy miasta Chicago, bo tam daleko, na miejscu, gdzie przed pięciu laty było jeszcze pustkowiem, rozsiadła się w nowo-zbudowanej i jeszcze się budującej dzielnicy parafia św. Konstancji.

Ta parafia św. Konstancji stanowi, jak zresztą setki innych parafii i to nie tylko polskich, obrazek, jak to w Ameryce powstawały i jeszcze powstają nowe parafie i nowe kościoły.

Oto biskup diecezjalny pewnego pięknego poranku woła sobie upatrzonego księdza i mówi:

— Jegomość, oddaję ci w zarząd parafię — przypuśćmy: Św. Marty, tam a tam.

Ksiądz odpowiada nieśmiało:

— Przecież tam niema żadnej parafii św. Marty.

— Ja ją właśnie niniejszem powołuję do życia — mówi biskup, — a ty będziesz jej pierwszym zarządcą i pierwszym proboszczem jej kościoła.

— Ale przecież, księżo biskupie, tam niema żadnego kościoła ani plebanji, jest tylko szczerze pole, niebo i ziemia.

— Otóż właśnie, — brzmi odpowiedź, — ksiądz masz tam zbudować kościół, plebanję, szkołę i co tam będzie jeszcze potrzebne dla życia parafialnego.

Widziałem kilka takich „parafii” na golutem polu w kilku miastach Ameryki, mianowicie zaś w Detroit.

Cóż to? Czarów żąda taki biskup, czy co? — pomyślicie sobie, szanowni czytelnicy.

Nie, to nie żadne czary. Od kilkudziesięciu lat w ten sposób powstawały w Ameryce setki kościołów i szkół. Ksiądz poszedł, zaczął zbierać i żeбраć pieniądze, stawiał zwykle naprzód szkołę a w podziemiach mały kościół, bywało też, że zbudował dom, parter wydzierżawił kupcom na składy, a kościół urządził na piętrze, około kościoła poczęły się budować domy, jeden, dwa, dziesiątki, setki, i z niczego, tam gdzie było puste pole, rozrosła się parafia czasem wprost olbrzymia,

która zdobyła się z biegiem lat na monumentalny, nieraz kościół, wspaniałą plebanję, szkołę nowoczesną, dom dla zakonnic-nauczycielek — i tak dalej.

I tu właśnie zaczynają się niewypowiedziane wprost zasługi tych księży, którzy z nadludzkim wysiłkiem, narażając się na tysiączne upokorzenia, dźwigali tu twierdze życia katolickiego, a jeśli chodzi o nasze kościoły polskie, to i życia narodowego. Coby się było stało z naszymi emigrantami w Ameryce, z ich wiarą i polskością, gdyby nie nasi księża i kościoły, około których skupiała się cicha praca nad zachowaniem duszy polskiej i katolickiej naszego wychodźcy. Nie uratowaliby ich socjaliści przemądrzali, którzy dopiero dzisiaj zjeżdżają się z Polski do Ameryki, by u obalamuconych rodaków zbierać dolary nie na ratowanie polskości, lecz na ratowanie swojej partii! Historia wychodźstwa polskiego nie zna ich działalności w Ameryce w onych latach, gdy biedny robotnik musiał walczyć na gruncie amerykańskim nie tylko o kawałek chleba, ale o język i wiarę. Dzisiaj zjawiają się u niego ci dobroczyńcy ludzkości i wyciągają rękę po dolary, niby to na ratowanie proletariatu od jarzma kapitalizmu, którego robotnik w Ameryce, w tym kraju kapitalistów, wcale tak groźnie nie odczuwa. Pomówimy o tem jeszcze przy innej sposobności.

Taką oto parafią, wyczarowaną z ziemi w ciągu ostatnich kilku lat, jest owa parafia św. Konstancji.

Trzeba do niej jechać dobrą godzinę. O ósmej ma się odbyć owa „Święta Godzina”. Więc posiliwszy się wcześniejszą kolacją na drogę i na pracę, wyruszyłem około godziny 7 wieczorem.

Jadę ulicami o ruchu nieco słabszym, jako że to niedziela. Ogarnia mnie niebawem cisza spokojnych dzielnic, w których zielenią się ogrody, a w nich wile, pałace, a przedewszystkiem długie szeregi małych domków dla robotników i mniejszych kupców. Wszyscy oni pracują w mieście, ale mieszkają tutaj, daleko od rojowiska ludzkiego. Kto tam może sobie pozwolić na mieszkanie w środku miasta? Komorne ogromnie drogie, bo przecież olbrzymie gmachy służą nie na cele mieszkań, lecz kupiectwu, handlowi, bankom, biurom, płacącym niezmiernie wysokie czynsze.

Najbardziej wzbudzają ciekawość owe małe domki, stojące obok siebie w długim szeregu a podobne do siebie jak bliźniaki. Jest ich w jednej gromadzie nieraz po kilkaset. Kto je buduje? Otóż zakłada się spółka dla budowania mieszkań, czasem podejmuje się tego jakaś fabryka dla swoich robotników i urzędników, zakupuje się wielki obszar gruntów i na nim wznosi się sto lub więcej domów tego samego rozmiaru, według tego samego rysunku, z tego samego materiału. Przy każdym domie jest maluteczki ogródek, w każdym też wewnątrz znajdziesz wszelkie udogodnienia, jak światło elektryczne, ogrzewanie za pomocą oleju, łazienki, no i, rozumie się, garaż czyli stajnię dla tego konia, który się zowie samochodem. Spółka lub fabryka odstępuje gotowy dom po domie uboższym ludziom, którzy w czynszu dzierżawnym płacą zarazem raty za nabycie prawa własności, i tak w ciągu dziesięciu lub piętnastu lat stają się właścicielami milej chałupki i panami na własnych śmieciach.

Jest niedziela. Po dniu upalnym powiewa chłodek wieczorny. Ludzie odpoczywają. Na werandzie każ-

dego domu chłodzi się nieraz cała rodzina. I widzisz obrazek, jaki się tylko w Ameryce spotyka. Amerykanin uważa, że najlepiej się wypoczywa, gdy się siedzi nisko a nogi ma się zadarte w górę. To też każdy Amerykanin, gdy chce zasiąść wygodnie, nogi kładzie wysoko na poręczach krzesła, kanapy, a czasem i na stół. W pociągach amerykańskich często można zobaczyć taki obrazek. Robią zresztą to samo i kobiety. Więc wzdłuż balustrady całej werandy widzę jakby zawieszony na płocie, podeszwami zwrócony ku widzowi, cały szereg podeszew. Patrząc, co to za wystawa! Przyjrzawszy się bliżej widzę, że to nie same tylko podeszwy, lecz buty i buciki, męskie i damskie. Domyślałem się tedy, że przy tych bucikach musi być jeszcze „coś” innego, stopy, nogi i cały korpus. I tak też było. To tata, mama, dzieci używają wypoczynku na sposób amerykański, zadarłszy nogi pod niebiosy.

Powiem jeszcze, że do wygody Amerykanina należy jeszcze krzesło na biegunach. U nas takie krzesło to rzadkość. W Ameryce nie znajdziesz domu, w którym nie byłoby przynajmniej jednego krzesła na biegunach; często jest kilka foteli na biegunach, podobno nawet czasem bujają się tu i owdzie na biegunach całe kanapy. To jest szczytem przyjemności i użycia dla Amerykanina, zasiąść po pracy w krześle na biegunach, rozkołysać się na niem i zaciągać się przytem wonnym dymem cygara.

Zajeżdżam wreszcie przed kościół św. Konstancji. Ludzi pełno. Nabożeństwo rozpoczyna się niebawem. Cóż, kiedy przyjechałem w surducie. Muszę sobie pożywić rewerendy. Naturalnie o mojej gali niema mowy. Albowiem kufer mój, jak wiadomo, jeszcze się nie znalazł.

X. Józef Klos.

Zofja Sokołowska

Co starościc zdobył na wojnie

18)

Powieść z XVII-go wieku.

(Ciąg dalszy)

Uśmiechnął się starościc i pokręcił wężem.

— Imć pan kasztelan w swojej łaskawości chce oddać nam Wolę Chojnową, a sam z imć panią stolnikową, przenieść się do Warszawy. Suponuję, że waszmość panna będzie rada nie opuszczać domu rodzinnego, jak to zwykle czynią białogłowy, wychodząc za mąż.

— Wielkiem to przejęło mnie ukontentowaniem, — śmieiej już mówiła panna Małgosia — a i dla waszmości, będzie miło być tak blisko Gozdawina i rodziców. Byłe tylko znów jaka wojna nie zmusiła waszmości do wyjazdu.

— Żołnierzem jestem, mościa panno, a więc defensorem ojczyzny, obligowanym bronić jej w potrzebie, chociażbym miał to okupić szczęściem i zdrowiem. Ale tymczasem nie Mars, jeno luby Kupido w swojej służbie mnie trzyma.

Nowy toast przerwał ich rozmowę.

Miedzy jednym daniem a drugim, upływało zawsze pół godziny, skutkiem czego uczta trwała trzy do czterech godzin. Dla urozmaicenia czasu gościom, przygrywała kapela, złożona ze skrzypiec, waltorni i bębenka.

W miarę, jak potrawy znikaly z półmisków, a wina ubywało w gąsiorach, w komnacie jadalnej panował coraz większy gwar, połączony z wybuchami śmiechu. Humory biesiadników były coraz lepsze.

Skończyła się uczta i całe towarzystwo przeszło do wielkiej sali. Kapela zagrała polskiego. Kasztelan, tęgi i rosły mężczyzna, w karmazynowym aksamitnym kontuszu i złocistym żupanie, podał rękę pani starościnie zakroczymskiej, która w bursztynowej adamaszkowej sukni i białym jedwabnym zawoju, zwanym *podwika*, okazała się prezentowała.

Za nimi podążył długi korowód par, zataczając wielkie koło, ze względu na żywe barwy męskich i białogłowskich strojów, podobne do olbrzymiego wieńca kwiatów, albo do mieniającej się tęczy. Oczy mrużyły się od połysku atłasów, sajek, lam srebrnych i złocistych, od ognia drogich kamieni, któremi nie tylko panie, lecz i mężczyźni byli osypani.

Kasztelan, tańczył z powagą i gracją iście sarmacką, to podkręcał wężem, to kładł rękę na karabeli, to pochylał się ku swojej towarzysze, jak gdyby chciał coś jej szepnąć, to opuszczał nagle koło tańeczne i zwracał się na środek sali, niby zamierzając ująć innym parom, to przyciskając dłoń do serca skła-

dał głęboki ukłon swojej damie, która ująwszy pałuszkami za suknię, dygała wdzięcznie.

W tym staropolskim tańcu, w jego odbijaniach, skrętach i splotach, w posuwistych i zamaszystych ruchach, było coś marsowego, a zarazem dwornego; odbijało się w nim gwarne i ruchliwe życie dawnej szlachty.

Potem, nastąpiły inne tańce: reje, młynki, cenary, gonione, golardy, firleje, wyrwane, ale do nich jeno młodzież stawiała. Starsi tymczasem zabawiali się dyskursem i popijali wino, nagłeni przez gościnnego gospodarza.

Blady ranek zimowy zajaśniał w szparach okien, kiedy nakoniec umilkła kapela i goście poczęli się rozjeżdżać. Niejednego służba musiała wnosić do kolaski, albowiem własne nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

W Gozdawinie jeszcze nie zdążyli wywczasować się po długiej zabawie, kiedy z Woli Chojnowej nadjechał konny posłaniec z żalosną wieścią, że pan kasztelan ciężko zachorzał. Starosta z synem zaraz tam pojechali. Sprowadzono najlepszych medyków, ale ci jeno głowami kiwali, nie obiecując wyzdrowienia. Jakoż męczyl się jeszcze jakiś czas i w sam poniedziałek Wielkanocny ducha wyzionął.

— Jako żywo! nie ma w tem małżeństwie woli Bożej, — rzekł x. Lechoń do panny Symforji — ciągle jeno przeszkody. I teraz wcześniej niż za rok i sześć niedziel wesela być nie może.

— A jakże! Kasztelanek wcześniej nie zdejmie żałoby po rodzicu. I mnie się widzi, że chleba nie będzie z tej maki — odpowiedziała panna Symforja.

Tymczasem starościcowi skończyła się permisja, musiał więc odjechać do swej chorągwi. Starosta, mocno zalatrowany śmiercią przyjaciela, obiecał zająć się sprawami majątkowymi i opiekować się kasztelanek.

XII.

Na wiosnę r. 1671 niebo na Kresach zaczęło od nieprzejrzanych stad ptactwa, z krzykiem ciągnącego na północ; był to znak, że maluczko a zaroją się szlaki od cmy tatarskiej. Jakoż w czerwcu, szła orda trzema szlakami. Czarnym, Kuczmaniskim, i Wołoskim, wtargnęła na Ruś Czerwoną, Pokucie, Wołyn i Podole.

Jednocześnie zdrajca Doroszenko znowu poddał się sultanowi i rozniecił na Ukrainie pożar buntu. Polsce groziła nadto wojna z Turcją.

Przeciw tej potędze Rzeczpospolita mogła wystawić tylko 10 000 wojska, ale geniusz Sobieskiego starczył za armię. Rycerstwo uwielbiało wodza, ufalo mu i było dobrej myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ogólny widok Krzemieńca.



Wzgórze Bony.

TAM GDZIE RODZIŁ SIĘ SŁOWACKI...

Krzemieniec, zamek wołyński.

O Krzemieńcu tak pisze Długosz: „Krzemieniec, góra wysoka w ziemi Podolskiej, na jej wierzchołku zamek mocny; cała skalista i krzemieni pełna, stąd tak nazwana; Polacy bowiem i Rusini skalę (solex) krzemieniem zowią”.

Powszechnie panuje przekonanie, jakoby Krzemieniec powstał u stóp zamku Bony, zbudowanego jej staraniem na płaskowzgórzu góry Krzemienieckiej.

Józef Kraszewski wyraźnie podaje, że Krzemieniec za Zygmunta I był najpierw własnością Janusza, ks. litewskiego, a potem Bony. „Zapomniano o męczennikach, królach, a Bony imię uparcie do murów i gór przylgnęło... I żyje królowa Bona w Krzemieńcu, gdzie może noga jej nie powstała”. (Tyg. ilustr. 1860.)

Podziwiać doprawdy można u nas w Polsce te przesady, jakie powodują, że ludzie najmniej pamięci godni stają się najgłośniejszymi, (chyba dla sprawek złych), a przeciwnie postacie istotnie cziłe godne zapadają w cień zapomnienia głuchego a martwego. Widać, jak niewłaściwie i fałszywie w wielu wypadkach nauka nasza kroczy.

Zamek na Krzemieńcu, to znaczy na górze krzemienieckiej, musiał być od czasów najdawniejszych grodem bardzo silnym, skoro jeszcze w połowie stulecia XI należał do królewskiej Bolesława Szczodrego, czyli Śmiałego, którego miecz silny często bardzo zwracał się w te strony. Zamek zapewne od początku istnienia mocno osadzony i założony, wytrzymał napady Tatarów w r. 1240 i kiedy na Podolu

i na Wołyniu wszystkie prawie zamki upaść musiały przed nawałą burzliwą, jeden tylko gród, a zatem zamek w Krzemieńcu nie poddał się, ostał się dumnie.

Nietylko podczas pierwszego napadu Tatarów w r. 1240 i 1241 Krzemieniec zdobyć nawała nie mogła, lecz i za napadem drugim w r. 1257 nie poddał się tłuszczy olbrzymiej a strasznej. Najprawdopodobniej zwyczajem starym w Polsce rozpowszechnionym, musiał zamek na Krzemieńcu być wzmocniony zamkiem drugim, opodal na górze drugiej wzniesionym, na górze Czerczy, czyli Czerńczy. Jak we Lwowie od czasów najdawniejszych dwa były zamki polskie, tak i w Krzemieńcu obydwie góry, „jak dwa szczyty Parnasu w Delfach” wedle wyrażenia Niemcewicza, musiały mieć grodziszcza dwa, a potem zamki dwa. To stanowiło obronność największą, zwłaszcza gdy uwzględnimy jeszcze połączenie ich wzajemne zapomocą „wycieczek podziemnych” ze wszystkimi zamkami polskimi powiązanych. I tutaj w Krzemieńcu być one musiały gęsto rozsiane pod powierzchnią ziemi, albowiem podania o nich wspominają, a prócz tego naocznie oglądać można szczątki murów i sklepień, w ogrodzie tuż u stóp góry od strony miasta, poza kościołem dawnym Franciszkanów. Są tu dwa wyloty z kamienia dzikiego wykonane, a wychodzące z głębi góry, tworzące przejścia na wysokość człowieka, o szerokości dla dwóch ludzi. Wszedłszy nieco do wnętrza, zauważyć można ślady odgałęzień bocznych, które mogły nawet całą górę

okalać. Takie ganki, nazywane w Polsce „słuchami podziemnymi”, powszechnie znane były w starożytności najodleglejszej i tutaj zapewne łączyć się musiały z wycieczkami pod górę Czernczą. Czasy owe przedawne kojarzą się z baśniami o jakimś moście długim, rzemieennym, rozpiętym raz pomiędzy górami, drugi raz spuszczać się z wierzchołka na dół do mia-



Mury zamku na górze.



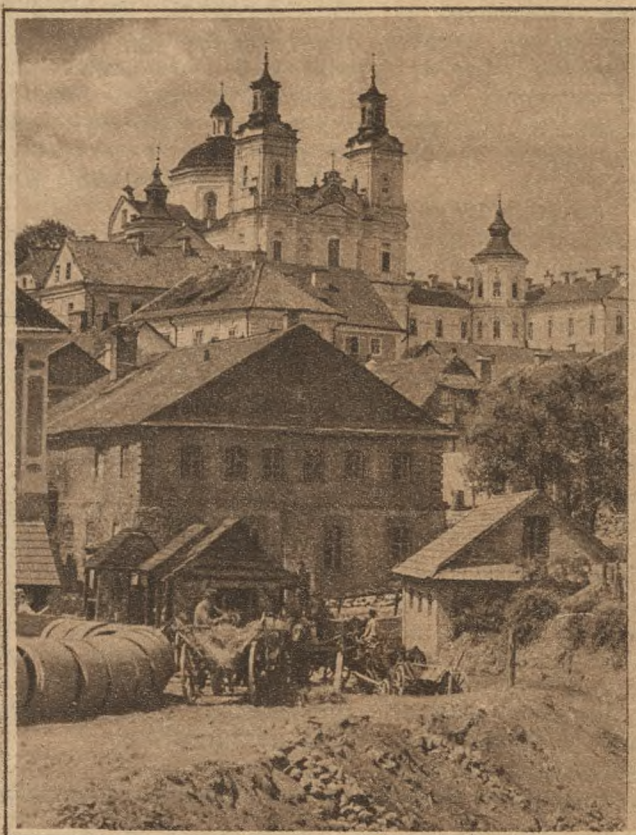
Resztki dawnej bramy wjazdowej do zamku.

sta. Opowiadania owe, niechybnie należące do źródeł bajecznych, przyczepiono później znowu do Bony, jakoby królowa ta, pełna dobrodziejstw nieznanym, zjeżdżała miała po moście skórzanym do miasta, do Sukiennic tutaj, na wzór Krakowa, w środku rynku stojących. Przypuścićby można, iż wyobrażenia ludowa po upływie stuleci, przeniosła wspomnienia swoje z osoby jakiejś księżny, lub królowy, za prawdę „Dobrej” zwanej („dobra” po łacinie „bona”), na tę Bonę, która była przeciwieństwem cnoty i zasługi. Dowód starodawności poprzec można przypomnieniem, iż o moście skórzanym prawią także podania, odnoszące się do Skały Pieskowej koło Ojcowa. Pan zamku tego „miał mieć most skórzany, po którym, zaczepiwszy go u drugiej pobliskiej skały, z zamku na wyprawy wychodził...” (Biblioteka Warszawska 1841, str. 22). Przypominają się nam dalej mosty Kaliguli, jakie rozpinać kazał pomiędzy górą Palatyńską a Kapitołem. I w Krzemieńcu wisieć musiał most skórzany pomiędzy górą jedną a drugą, most dający się łatwo każdej chwili zwinąć. Jakże to wieki? co to za ludzie?... uwierzyć trudno, ot! bajania i gadania.

Ogłędziny zamku z roku 1542 mówią o jednym moście wjazdowym i o drugim moście zwodzonym na łańcuchach. Określenia ciekawe zasługują na przytoczenie zdań

kilku: „most wjazdowy, nadpsuty, potrzebuje naprawy, lepiej go umieścić, jak uprzednio było, przy baszcie Czerlenej (zdaje się Czarno-lwiej), gdyż łatwiejsza obrona; za tym mostem na bastionie horodnia obszerna (to znaczy grodnia), w której za księdza biskupa drabanci mieszkali i msza się odprawiała. Za tą horodnią (grodnią) most zwodzony na łańcuchach, brama, a nad nią wieża wielka i wysoka, murowana przez biskupa, po nim

zaś Dachno jeszcze wyżej podniósł i przykrył jakby kołpakiem; innych wież jest dwie, przedzielone 25 horodniami dobrimi a 8 niedokończonemi”. Przytoczyliśmy słowa te z umysłu, aby one rzuciły jakieś promienie na dawny stan zamku. Otóż dowiadujemy się, że przedewszystkiem była to baszta zwana Czerlena, a prawdopodobnie od lwa zwana Czarnolwią, potem była wieża bramna wysoka z mostem zwodzonym i były jeszcze dwie inne wieże. A więc znowu cztery wieże, jak to po całej Polsce było stale rozpowszechnione. Zamek czterowieżowy to zamek polski! A z wież tych jedna najwyższa, z bramą o moście na łańcuchach, miała pokrycie podobne do kołpaka, a zatem baniaste, czyli kopulaste. Co to za ważne opasanie, dające nam możliwość wykazania, że jak na baszcie wjazdowej, przy moście wjazdowym, była kaplica, gdzie ksiądz biskup mszę odpra-



Liceum i katedra w Krzemieńcu, miejscu narodzin Juliusza Słowackiego.



Część murów liceum, do którego uczęszczał J. Słowacki.

wiał, tak i tutaj nad bramą przy moście zwodzonym musiała być także kaplica, może większa i piękniejsza, bogatsza i ważniejsza, skoro dla niej górą wprowadzono kołpak, jako zakończenie baniaste, kto wie czy nie złote, t. zw. złotowierchne, jak u nas było w zwyczaju. Nabieramy przekonanie, iż bramy obie miały kapliczki na piętrach, a przypomina nam to i naszą kochaną bramę Florjańską w Krakowie i droższą jeszcze Ostrobramę Wileńską, gdzie również aż po dziś dzień ołtarze dotrwały i obrazy cudowne Matki Boskiej stanowią pamiątki w Polsce najukochańsze. Wiedzieć bowiem trzeba, że ojcowie nasi pobożność swoją umieli z życiem i z czynami wiązać, to też nad bramami do zamków prowadzącymi umieszczali kaplice z obrazami



Rodzajowy obrazek, ukazujący uliczkę Krzemieńca.

Matki Boskiej, aby żegnając przy wyjeździe, i witając przy wjeździe do siedziby swojej próg domowy oddawać go opiece Boskiej. Słyszymy często o tem, jak na ganku wieżowym przed kaplicą, na piętrze stała muzyka i uroczyste wjazd gości oznajmiała. Otóż pamiętajmy, że muzyka ta wprawdzie była dla świętości kaplicy i obrazu cudownego potrzebna, a potem dopiero zeszła do posług życia powszedniego. Z tej baszty bramnej, wysokiej pozostała tylko część najniższa, jedynie cośkolwiek o zamku mówiąca, bo wszystko padło w gruz. Jest to ta brama ostrołucznie przesklepiona, którą widzimy na obrazku, a z którą łączył się most zwodzony. Wieża druga, od strony miasta, to prawdopodobnie resztką stołpienia starodawnego, u dołu pierwotnego, później nadbudowanego.

Z opisu wyżej przytoczonego dowiadujemy się prócz tego, że pomiędzy wieżami były „horodnie”, co oznacza słowo zruszczone, pochodzące od „grodnice”. Były to małe wieżyczki, często nawet drewniane, należące do murów okalających dziedziniec zamkowy, aby obrona z nich wzbraniała przystępu do obwarowań ze wszystkich stron, dookoła. Słyszymy tutaj o 25 grodniach ukończonych, a 8 niedokończonych, co razem podaje nam aż 33 grodni. Bywało ich i więcej po zamkach podolskich i wołyńskich. Razem z zamkiem całym, z wieżami i silnymi murami, w strzelnicze zaopatrzonymi, grodnice owe stanowiły twierdzę, jak w Krzemieńcu niezdobyta.

Aż dopiero Krzywonos okrutny, w r. 1648, dostał w ręce swoje gród, dotychczas nie poddający się nikomu z wrogów. Łatwo zrozumieć, jakim stało się to sposobem: oto Rusini, stanowiący załogę przychylni Krzywonosowi, tak kierowali obroną rzekomą, że sami wszystko zrabowali, a potem bramy otworzyli. Strach co się w czasie owym działo i w Krzemieńcu i w okolicy — nie było domu nie zniszczonego, nie było

pokoju nie obdartego ze wszystkich kosztowności, nie było dworu nie okradzionego do nitki i strzępa i nie było świątyń nie splugawionych, a złupionych.

Przyszła z ręki „pobratymców” klęska taka, jakiej nie sprawili ani Tatarzy ani Mongołowie. Krzemieniec jako zamek i Krzemieniec jako gród, czyli miasto, upadł, aby już się nie podnieść nigdy do znaczenia dawnego.

Dwie były chwile dla Krzemieńca najjaśniejsze, prawdopodobnie za króla Kazimierza Wielkiego i za Zygmunta Starego. W sądownictwie za czasów króla ostatniego, Krzemieniec miał podlegać Lwowi. Miasto musiało być bardzo bogate, gdyż słynęło z kramów rozlicznych, miało sukiennice swoje własne, swoją wagę własną i starostwo, opiekujące się mnogimi mieszczan swobodami i głośnymi przywilejami królów polskich.

Zachwycające położenie przyrodzone samego Krzemieńca i okolicy, dało powód do nazwy Sz wajcarji podolskiej, jak piękno w okolicy Ojcowa ze Zamkiem Skaly Pieskowej zowią Sz wajcarją polską. Podniosłe sprawia wrażenie widok góry zamkowej, jakby uwiecznionej naprawdę koroną murów zamkowych. Naprzeciw rozłożyły się później gmachy sławnego Liceum z kościołem dwuwieżowym i kopułą na skrzyżowaniu. Całe miasteczko dzisiejsze tchnie czarem tego ducha, który tu zamieszkał po dworakach mnogich, rozsiadanych wśród sadów, co wiosnę pokrytych kwieciami śnieżnobiałymi, a przemieniających przedmieścia w ustronia rajskie.

Choć zamek Krzemieniecki sterczy tylko szczątkami murów postrzępionych i mówi, że przeszłość świetna jego dawno minęła, mimo to nadzieja przyszłości lepszej napawa mieszkańców otuchą, bo kątka tak uroczego i wdzięcznego nie można nie miłować całą duszą polską.

Prof. Dr. Zubrzycki.

Mimo wszystko

Gdy słowa zamienimy w nieklamane czyny,
Święcić będziemy dopiero Polski narodziny.
A dusz tych hekatomb, w ofierze złożone,
Plon dając pożądany, nie będą stracone.

Świat zrozumie nareszcie potęgę narodu,
Wiążącą w całość szczepy wschodu i zachodu.

Lud, co cierpiał najwięcej, jednak zdarł okowy,
Mimo wszystkie zapory, wyjdzie: silny, zdrowy!

Wyjdzie, z udręk zwycięsko — jak prawda trwać będzie,
Choć knują wrogi fałszu olbrzymie orędzie
I na Polski istnienie, dzisiaj, jako zawsze,
Ciągłe czyhają siły wrogie i najkrwawsze. A. W. G.

Pan minister w Owsikowie

Humoreska.

(Dokończenie.)

Pekalski wśród ukłonów i komplementów zaprosił ministra do domu.

— Będzie to wielki dla nas zaszczyt, — mówił, — jak Owsików Owsikowem, jeszcze żaden minister w nim nie gościł, panie dobrodzieju.

Kiedy dostoiny gość wszedł do bawialni, tonęła ona w obłokach kurzu. Kasia ledwie zdążyła wynieść z niej gruszki, które leżały na słomie i zamieść pokój gruntownie. Panie jeszcze nie były gotowe.

Pekalski usadowił ministra na kanapie, z której zdradziecko sterczała złamana sprężyna. Sekretarz skromnie zajął miejsce na krzeselku, ale natychmiast runął wraz z nim na ziemię. Gospodarz pośpieszył z pomocą.

— Na tem krześle nikt nie siada: ma złamaną nogę, — objaśnił. — potłukł się pan?

— Nie, — odrzekł pan Stróżyk-Stróżycki, szukając binokli, które spadły mu z nosa przy wywijaniu kozła, —

szkoda, że przy tem krześle nie było tabliczki z ostrzeżeniem, — dodał złośliwie.

Gospodarz zaśmiał się, aż szyby zatrzeszczały.

— Kapitałny z pana facet! — rzekł, klepiąc go po ramieniu.

Jakiś czas panowało milczenie.

— Liczne macie państwo sąsiedztwa? — zagadnął wreszcie minister.

— O, nie panie dobrodzieju, prawie sami chłopci. Czasem przez kilka tygodni pies z kulawą nogą nie zajrzy, dlatego jesteśmy tak radzi panu ministrowi.

Rozmowa się urwała.

— Jakie pan miał urodzaje w tym roku? — po chwili odezwał się sekretarz.

— Kiepskie, gdyż pogoda była pod zdechłym Medo-rem, — odrzekł Pekalski.

Wtem otworzyły się drzwi i do bawialni wkroczyła p. Pekalska, chuda brunetka w pomidorowej jedwabnej sukni; za nią szła nauczycielka z ostrzyżoną głową, ufrizonowaną à la baran, a potem cały szereg córek różnego kalibru.

— Moja żona — rzekł Pękalski — a to wychowawczyni moich dzieci, panna Teodozja Piątasówna: pisze tak piękne wiersze, że proszę siadać...

Sekretarz dostał nagle napadu kaszlu.

— To nasza najstarsza córka, Fipcia; skończyła już lat 15 — przedstawiał kolejno Pękalski — to druga, Bełunia, (naprzekór swemu imieniu brzydka jak noc), ma duże zdolności do muzyki, gra już bardzo dobrze „Włazi kotek na płotek“; to trzecia, Fufa, czwarta, Muszka, a to najmłodsza nasza pociecha, Kiki — dodał z rozczerwieniem.

Każda dziewczynka dygała przed ministrem, oszłomionym tą inwazją.

Pani Pękalska, miała przygotowany na powitanie górnolotny frazes, ale słowa tak jej się poplątały, że musiała urwać w połowie. Minister bąknął coś o znanej gościnności pp. Pękalskich, ale wobec ośmiu par oczu, wpatrzonych w niego uporczywie, i jemu zrobiło się nieswojo. Milczenie przerwała 7-letnia Kiki niewczesnym pytaniem:

— Mamo! a co robi pan minister?

Co najgorsza, że sam minister nie byłby umiał odpowiedzieć na pytanie. Pękalski wybawił wszystkich z kłopotu, mówiąc:

— Siedzi na fotelu i słucha, jak inni gadają.

Kiki była zadowolona, minister uśmiechnął się kwaśno, a sekretarz znowu zaczął kaszleć, aż poczerwieniał biedak, Pani Pękalska ze współczuciem zwróciła się do niego:

— Pan widocznie przeziębiony. U nas są pastylki miodowo-słodowo-jodowe, doskonałe na kaszel. Może przyniesie?

— Ależ nie, dziękuję pani — bronił się wystraszony młodzieniec, któremu odrazu odeszła ochota do śmiechu.

— Niech pan nie robi ceremonii, to bardzo skuteczne — nalegał Pękalski — pamiętasz, Kordziu, jak Fufa w marcu — nie, kłamie, w lutym, chorowała na kaszel? odrazu jej pomogły.

— A może zgotować ślazu, albo siemienia lnianego? — słodziutko proponowała panna Teodozja.

— Dziękuję pani, to już przeszło — wymawiał się p. Stróżyć-Stróżycki.

W tej chwili weszła Kasia z tacą, na której stała butelka, kieliszki i talerz z suchymi ciastkami, bodaj z Zielonych Świątek.

— Mam tu doskonałego maślacza, którym pozwolę sobie wnieść zdrowie dostojnego gościa, — uroczyście rzekł Pękalski, nalewając gęsty żółty płyn w kieliszki.

Było to wino rodzynkowe, używane zwykle na weselach żydowskich.

Minister spróbował i skrzywił się. Chciał zagryźć ciastkiem, ale było tak twarde, że nie mógł napocząć go zębami. Obawiając się o całość kosztownego garnituru, dał za wygrane i zamknawszy oczy, połknął odrazu zawartość kieliszka. Uprzejmy gospodarz chciał nalać drugi, ale minister stanowczo odmówił.

— Takiego wina, pije się tylko jeden kieliszek, — rzekł z przyciskiem.

Pękalski triumfująco spojrzał na żonę.

— Słyszysz, Kordziu? A zawsze psy wieszasz na Mordkę, że szachraj. Nie oszukał mnie na tem winie.

Rozmowa jakoś się nie kleiła, Pani Pękalska przypomniałszy sobie, że czas na obiad, wstała i wyszła, wraz ze swoim orszakiem. Z przyległego pokoju doszedł brzęk talerzy i apetyczny zapach barszczu na wędzonce. Wygłodniali mężczyźni przechodzili istne katusze. Pękalski bawił gości, jak mógł, opowiadając, ile żyta wysiewa na morze, jaki miał urodzaj kartofli zeszłego roku, na co chorowało bydło i o tym podobnych zajmujących przedmiotach, dla których jednak ci panowie dziwną okazali obojętność.

Minister, coraz kwaśniejszy, rzekł wreszcie do sekretarza:

— Niech się pan dowie, czy samochód już gotów.

Pan Stróżyć-Stróżycki poszedł i wrócił z hiobową wieścią, że dopiero za godzinę będzie można wyjechać.

Pękalski wymknął się z bawialni.

— Zmłuj się Kordziu, — rzekł do żony, krając sobie skibkę chleba — daj im co zjeść! Oni muszą być głodni, bo i mnie z głodu kiszki marsza grają.

— Ależ chłopysiu, co ja mogę im dać? — odparła pani Pękalska, szczerze zmartwiona.

Od 16 lat małżeństwa, nie zdarzyło się, żeby gość wyjechał głodny z Owsikowa.

— Możeby kawy ze śmietanką?

— Do kawy musi być bułka, albo ciasto, a w domu jest tylko chleb.

— To pošlij choć chleba, masła i wędliny.

— To dobre dla majstra, ale nie dla ministra. Jeżeli mu damy zjeść podle, obrazi się i nie zwolni cię od podatku majątkowego.

Ten argument zamknął Pękalskiemu usta, pełne chleba z masłem. Tymczasem minister, robił gorzkie wymówki sekretarzowi, który ze złością gryzł ciastka. Były tak twarde, że Dawid w pojedynku z Goljatem, byłby mógł śmiało użyć ich do swojej procy, zamiast kamieni. W bawialni panował grobowy nastrój.

Wszyscy lżej odetchnęli, kiedy samochód z wielką pompą zajechał przed ganek.

— Pan minister dobrodzieju raczy zwolnić mnie od podatku majątkowego — prosił Pękalski, odprowadzając gościa — jak Boga kocham, nie mogę zapłacić!

— Ależ to nie odemnie zależy — szczerze zapewniał minister, wsiadając do samochodu.

Wszystkie okna były ugarniowane głowami i główkami.

— Nieużyty człowiek; — mruknął urażony Pękalski, wracając do bawialni.

Starannie zakorkował butelkę i rzekł do żony:

— Kordziu! schowaj to na wesele Fipci. Nawet minister powiedział, że takiego wina pije się tylko jeden kieliszek.

Z. S.

Apteczka domowa.

Mlecz

Mlecz nazywają dmuchawcem, mniszkiem, brodawnikiem i jeszcze inaczej. Jest to ziele bardzo u nas w Polsce pospolite. Rośnie wszędzie i znane jest powszechnie. Dzieci robią z jego łodyg łańcuszki, ponieważ są w środku puste. Na suchych miejscach korzeń zapuszczony głęboko w ziemię, na wilgotnych nie potrzebuje wraść głęboko, bo ma dość pożywienia i wilgoci. Tak korzeń jak cała roślina napelniona jest mleczną cieczą. Gdy kwiat okwitnie, ukazuje się biała kula z puchu. Kwitnie całe lato. Liście zbiera się tylko młode, korzeń ma większą wartość u roślin starszych. We Francji z młodych listków robią sałatę, którą zaprawiają octem i oliwą i jedzą przy obiedzie. Sok biały zawiera różne ingredencje, jak gumę, kwas potasu, siarczan, sodę i mangan. Działa na człowieka usypiająco i uspokajająco, czyści krew, niszczy naskórek na odciskach i brodawki. Używają ziela w różnych chorobach. Leczyć można także zapalenie oczu, jeżeli całą roślinę lub korzeń drobno pokrajemy i moczymy w wodzie przez dwie doby, poczem płyn przeceudzimy i nieco ogrzejemy. Taką wodą należy zwilżać zapalone oczy. Na nieczystość krwi, objawiająca w wyrzutach na twarzy i ciele pije się herbatę z liści i kwiatu mleczu, zmieszanych z liśćmi malej pokrzywy. Bierze się łyżeczkę suchych liści na szklankę wody i pije po dwie szklanki dziennie. Na kaszel pije się po łyżce takiej herbaty co dwie godziny. Leczy się także hemoreidy (gruczoly krwawiące przy kiszce odchodowej) herbatą z mleczu, pijąc cztery razy dziennie po pół szklanki. Taką herbatę pije się również na liszaje. Korzenie na herbatę należy gotować 8 minut

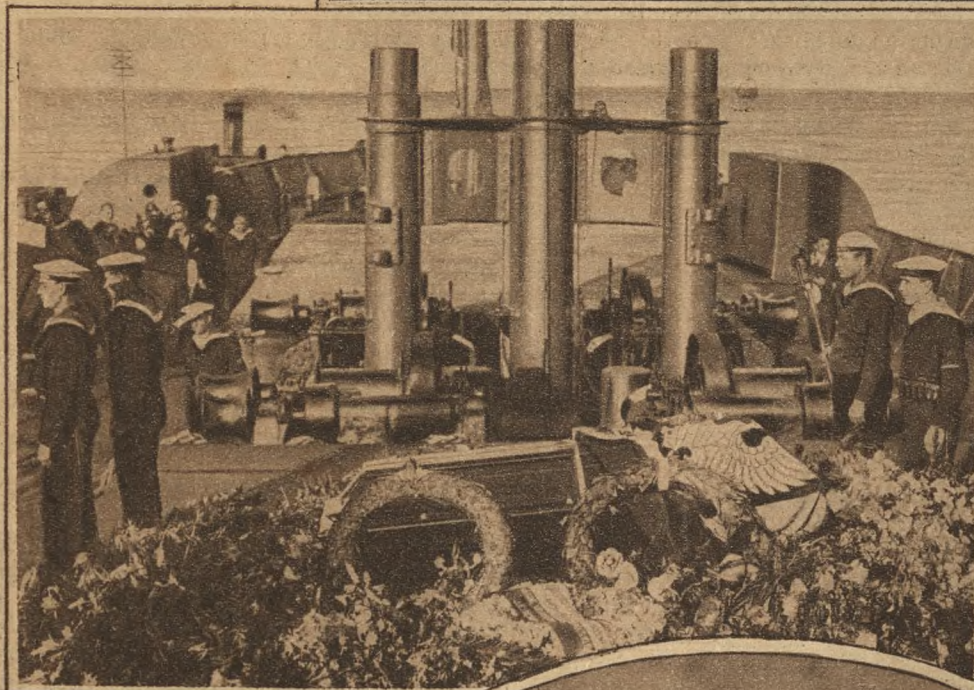
Przez morza i lądy w triumfalnym pochodzie na Wawel

Z Paryża trumna ze zwłokami Juliusza Słowackiego, wielkiego poety polskiego, wyruszyła 14 czerwca. Chwila ta stała się wielką uroczystością nie tylko dla Polaków, mieszkających we Francji, ale i dla samych Francuzów, którzy czcili w Juliuszu Słowackim wielkiego poetę i wielkiego Polaka.

Następnego dnia przybyła trumna z prochami poety do Cherbourg. Straż przy katafalku w przystani objęli członkowie związku studentów, nabożeństwo zaś żałobne odprawił delegowany przez rektorat polskiej Misji Katolickiej we

mi, ten „co nie znał rodzinnego domu“ — wracał doń, choć dopiero w kilkadziesiąt lat po śmierci. A droga powrotu tego była drogą triumfu, drogą królom tylko należną.

Przeniesiono w Gdyni hebanową trumnę poety z „Wilji“ na mniejszy statek „Mazur“, aby drogą srebrzystej Wisły, niby po ścieżce z fal i blasków — zdażał Słowacki do serca Polski. Zatrzymując się w większych miastach, ponad Wisłą leżących i w kilku wioskach, posuwał się „Mazur“ w głąb kraju. A wszędzie i w Gdańsku i w Tczewie, w staro-



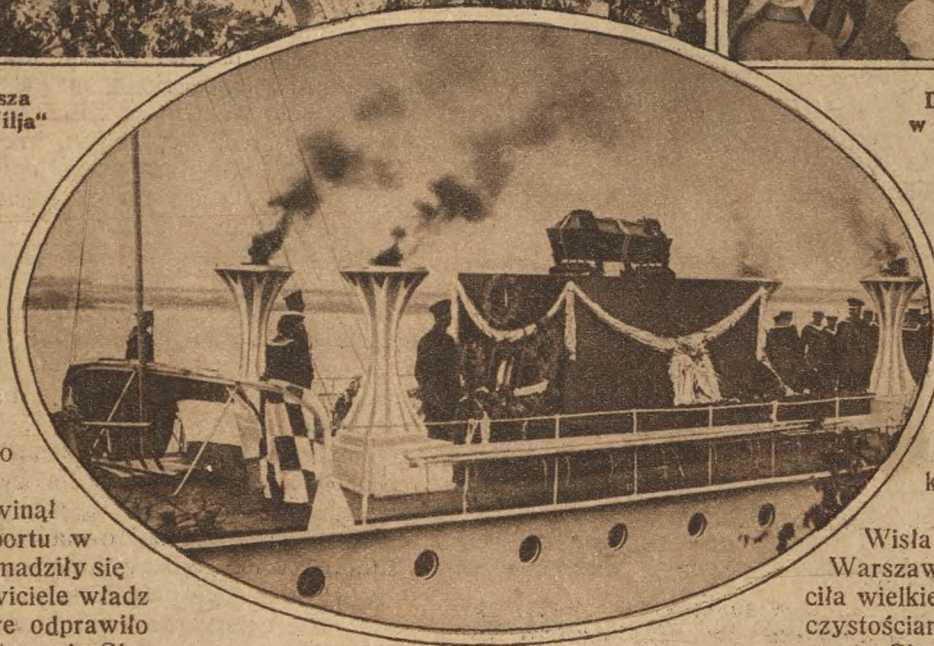
Prochy wieszcza Juliusza w Gdyni na statku „Wilja“ dnia 21 z. m.

Francji x. prałat Tarnogórski. Następnie przy dźwiękach hymnu narodowego, przeniesiono trumnę na statek „Wilja“, który tegoż wieczoru odplynał od brzegów francuskich do Polski.

21 czerwca zawinął statek „Wilja“ do portu w Gdyni. Na brzegu zgromadziły się tłumy ludzi, przedstawiciele władz i duchowieństwo, które odprawiło modły żałobne przy trumnie Słowackiego. Po długiej tułaczce, po latach spoczynku w obcej zie-



Duchowieństwo katolickie w Gdyni wita przybywający statek „Wilja“ 21 z. m.



Trumna z prochami Juliusza Słowackiego w Tczewie na statku „Mickiewicza“.
U góry: Marynarka polska na statku „Mazur“ jedzie naprzeciw zbliżającemu się statkowi „Wilja“, wiozącemu prochy wieszcza.

żytnym Gniewie i w Grudziądzu, w grodzie Kopernika w Toruniu i wszędzie, gdzie się tylko statek zatrzymał w skupieniu wielkiem oddawał naród hołd należny ziemskim szczątkom poety.

26 czerwca doniosła Wisła hebanową trumnę do Warszawy. Stolica Polski uczciła wielkimi, kilkudniowymi uroczystościami tę ważną chwilę powrotu Słowackiego. Z Warszawy specjalnym pociągiem udał się pogrzebowy kondukt w stronę

Krakowa, zatrzymując się po drodze w Skierniewicach, Częstochowie, Sosnowcu i Katowicach. Całą Polskę wzdłuż przejechał ten pogrzeb, który nie smutek ale radość i dumę budził w sercach, całą Polskę przejechała trumna Słowackiego, — jakgdyby wszystkie jej części chciała powitać, nacieszyć się ich widokiem.

W Katowicach odprawił x. biskup Lisiecki za duszę poety mszę św. żałobną, wygłaszając podniosłą, piękną mowę. Śląsk polski i ten złączony z macierzą i ten, co jeszcze w niewoli pozostaje, wziął pełny udział w uroczystości.

Po uroczystym powitaniu na dworcu krakowskim przez duchowieństwo, władze, przedstawicieli społeczeństwa i mrowie ludzkie, ruszył pochód ze zwłokami do Barbakanu, starej baszty, która stoi u wylotu ulicy Florjańskiej, jako pozostałość dawnych murów. W środku Barbakanu na podwyższeniu pięknym spoczęła trumna. Niewielka przestrzeń podwórza zasłana została kwiatami, wieńcami i zielenią; na piętrowym krużganku Barbakanu zapalono w żałomach murów lampy, wokół baszty pło-nęło kilkadziesiąt pochodni, a dookoła samej trumny paliły się cztery wielkie kandelabry brązowe z 3 płomieniami każdy. U przodu katafalku stały dwie urny, brązowa z ziemią z grobu matki poety i czarna z grobu ojca. Przez całą noc z 27 na 28 nieprzebrane tłumy przeciągały przez podwórze Barbakanu.

Rano 28, we wnętrzu baszty w obecności całego niemal rządu, pisarzy polskich, delegacji i obcych dostojników odprawił x. biskup sufragana Rospond mszę św., po której rozwinął się olbrzymi pochód — pogrzeb triumfalny, zdążający na Wawel. Naprzód szły orkiestry, za nimi nieprzeliczony pochód wieńców, później młodzież szkolna z całej Polski — i z Wilna i z Poznania, ze Lwowa i ze Śląska — za nimi delegacje towarzystw, instytucji, zakładów, delegacje chłopów, mieszkańców Racławic, Ślązaków ze Szopienic w pięknych strojach ludowych, dele-

gaci hutników śląskich, rybaków kaszubskich — cała Polska w swych przedstawicielach szła w tym pochodzie na Wawel. Były również delegacje Ukraińców, Czechów, Słowaków i Litwinów. Trumna wieszcza spoczywała na przepięknym rydwanie. Kondukt prowadził x. biskup Godlewski w otoczeniu nieprzebranej liczby duchowieństwa. Za karawanem postępowali przedstawiciele rządu, władz — i olbrzymie masy narodu.

Po przybyciu na Wawel ustawiono trumnę na pięknym podwórzu zamkowym. Cała historia Polski spoczęła z murów tych na prochy syna swego i na tych, którzy w oddaniu mu największej czci upatrują wzmożenie siły swojej Ojczyzny. Chwila ta była nad wyraz podniosła. Wchodzą na krużganek x. arcybiskup Sapieha, x. biskup Rospond i dostojnicy kościoła, po chwili w otoczeniu oficerów ukazuje się marszałek Piłsudski. Imieniem rządu przemawia P. Marszałek, kończąc swe przemówienie rozkazem do oficerów zaniesienia trumny poety na wieczny spoczynek.

Chwila ostatecznego zakończenia uroczystości się zbliża. Serca biją prędzej. Wzruszenie ogarnia obecnych. Wśród ogromnej ciszy wnoszą trumnę do katedry, gdzie wygłasza x. biskup Godlewski gorące, do dusz głębi sięgające przemówienie. X. metropolita ostatni raz skrapia trumnę święconą wodą... Oficerowie biorą trumnę na barki i niosą ją do krypty, do przygotowanego grobowca; z chóru roznosi się potężna pieśń „Salve regina”...

Taką drogą, długą i daleką wrócił Słowacki do Ojczyzny. Wrócił do tej, do której tęsknił, dla której walczył pieśnią i czynem przez całe życie. A zanim spoczął w grobie na wieczny spoczynek obejść musiał całą Polskę wszczem i nacieszyć się niewidzianą, utęsknioną... Duch Słowackiego jest z nami, oddany hołd zbliżył i związał go z nami jeszcze silniej, więc choć prochy jego w ziemi, żyw jest i pełen mocy.

Syn w purpurze, do matki w prostej szacie.

Co za cudowne wyniesienie! Syn prostego dróżnika kolejowego szybkim krokiem postępuje na drodze zaszczytów, zostaje biskupem, arcybiskupem, prymasem Polski, a wreszcie kardynałem świętego Kościoła rzymskiego! Minęły te czasy, kiedy to do tronu biskupiego mógł dojść prawie wyłącznie ten, kto zrodził się w złocistych pałacach. Dziś zdrowa demokracja otwiera przystęp do najwyższych godności w Kościele każdemu, bez względu na urodzenie i pochodzenie.

Powołano skromnego zakonnika ze Zgromadzenia Salezjanów, X. Augusta Hlonda, syna chaty śląskiej, na najwyższe stopnie dostojników kościelnych.

I co za szczęście Dostojnego Purpurata, że ma jeszcze matkę, która ze świętą dumą w sercu, patrzy na tak chlubny bieg syna swego.

Najczcigodniejszy Kardynał-Prymas, otrzymawszy kardynalską purpurę, jako dobry syn zwraca najpierw myśl ku tej, która mu życie dała, ku ukochanej matce staruszce.

Napisał do niej list, który dostał się później do gazet. I dobrze, że się dostał do wiadomości publicznej. Bo jest on dla całych pokoleń nauką i przykładem, jak dobry, szlachetny syn, nawet postawiony na najwyższym stopniu godności, szanuje matkę, chociażby w zgrzebnej szacie.

List ten brzmi jak następuje:

Poznań, dnia 20 czerwca 1927.

PRYMAS POLSKI

Droga Mamo!

Ojciec św. raczył mnie w łaskawości swojej zamianować dzisiaj Kardynałem św. Rzymskiego Kościoła. W głębokim wzruszeniu zwracam się w tej chwili sercem i myślą ku Tobie, droga Mamo, i pierwszy list do Ciebie kreślę. Bo kiedy rozważam dziwne

drogi, którymi mnie Opatrzność prowadziła, zawsze mi przed oczyma duszy staje Twój obraz. Tyś umiejętniej od wielu uczonych pedagogów założyła w duszach swych dzieci mocny fundament życiowy, oparty silnie o wiarę i prawo Boże. Ponieważ sama szczerze modlić się umiałaś, wyuczyłaś nas łatwo i dobrze pacierza, z którego po dziś dzień czerpię moc i ufność w Boga. Otwarłaś przed nami szeroko drogę do szczęścia, boś nas wychowała nie do pieszczot i wygod, lecz do hartu i pracy i nauczyłaś nas kochać obowiązek, a powinnoś spełniać poważnie i ochoczo. To też nie gdzie indziej, jak w szlachetności i dostojności Twojego prostego, a Bogu oddanego serca jest początek owej drogi, którą mnie łaska Boża prowadzi, a która mnie zawiodła do tego, co się potocznie nazywa godnościami, a co w naszym rodzinnym rozumieniu jest zwiększonym obowiązkiem pracy i poświęcenia.

Więc w tym dniu, w którym Ojciec św. nasz cichy i skromny dom śląski okrywa takim blaskiem swej łaski, czule Ci za to dziękuję, żeś mi była dobrą matką i polecam się Twoim pobożnym modlitwom, bym się swoją pracą mógł przysłużyć chwale Bożej, pomyślności św. Kościoła i szczęściu Narodu.

Te same uczucia składam w duchu na grobie drogiego Ojca, którego ofiarnym i mężnym duchem nieraz się krzepię i kieruję.

Z wdzięcznością i czcią całuję Twe ręce i proszę o błogosławieństwo na drogę moich obowiązków

Twój

† August, Kardynał

Oto piękny i pouczający list.

Szczęśliwa matka, której takie świadectwo daje syn, na tak wysoki stopień powołany.



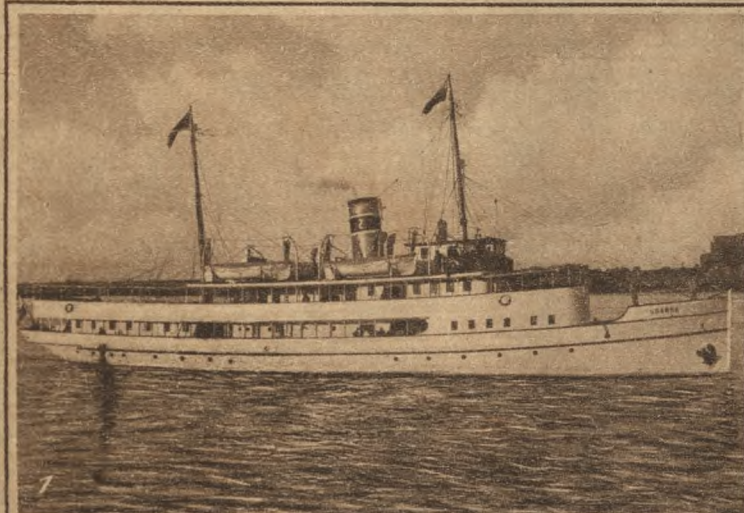
Za staraniem Pogotowia Narodowego na Wildzie w Poznaniu postawiono w miejsce pamiątkowego ale zniszczonego już krzyża — nowy, piękny krzyż.



Hrabia Canale Masucci, oficer papieskiej gwardji szlacheckiej, który przywiózł z Rzymu dla X. Kardynała Miłoda pluskę kardynalską.



Poświęcenie przez x. radcę Haupta, figury Najśw. Serca Pana Jezusa, wybudowanej przez salitę p. Franciszka Nowaka w Konojadzku.



1. W Tczewie odbyło się uroczyste poświęcenie nowego polskiego statku pasażerskiego „Gdańsk”; statek ten przedstawia rycina.
 2. We Francji buduje się dla Polski łódź podwodna. Chwilę uroczystego poświęcenia jednej z takich łodzi przedstawia nasz obrazek. (X) P. ambasador Chłapowski.
 3. W Krakowie odbyło się poświęcenie sztandaru Apostołów modlitwy. Obrazek nasz przedstawia chwilę uroczystości. (X) Celebrans x. S. Cisek T. J. (XX) P. J. Piępluch, prezes zelarów Apostołów modlitwy mężczyźni.
 Złote gody obchodzili:
 4. pp. Julian i Józefa z Marzathów, Majewscy z Nępną.
 5. Michał i Wiktorja z Kwapiszewskich, Rujawowie z Gnieszna.



Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki” wynosi w I kwartale 1927 r. za egzemplarze osobiste odbierane w ekspedycji i agencjach poznańskich 1,65 zł. Za egzemplarze wysyłane w opasce pod adresem imiennym w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł., od 10 do 59 egz. po 2.— zł., od 60 egz. wzwyż po 1,65 zł. Dla abonentów pocztowych przedpłata kwartalna wynosi 2.— zł., miesięczna po 67 groszy za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnymi.
 Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.